

7. miejsce

Dariusz Załupka

Godło: Angler

Najpierw drobne

Dzieci poprosiły, żebym opowiedział o pradziadku, a ja klęczałem przy ognisku i nie miałem co powiedzieć.

Byliśmy za wsią. Miejsce na ognisko ktoś obłożył kamieniami. W środku leżał popiół z poprzedniego razu, wilgotny pod spodem. Obok miałem drewno kupione przy drodze w foliowej siatce, równo pocięte, za czyste jak na ognisko.

Młodszy syn stał blisko mnie, z patykiem w ręku. Córka siedziała na pniu i patrzyła tak, jak dzieci patrzą, kiedy czują, że zaraz coś się zacznie. Żona rozpakowywała termos. Powiedziała: ostrożnie z dymem, bo wiatr idzie na nas. Wziąłem najcieńsze szczapki, kilka suchych igieł, kawałek kory. Podpałkę miałem w kieszeni, białą kostkę owiniętą papierem. Wyglądała jak coś, co załatwia sprawę za człowieka.

- Opowiedz o pradziadku - powiedziała córka.

Nie powiedziała, o którym. Dla niej wszyscy moi zmarli przodkowie stali po jednej stronie czasu, bez szczegółów. Mógłbym poprawić: o moim dziadku, twoim pradziadku. Nie poprawiłem. Wcisnąłem palcami trochę popiołu na bok, zrobiłem płytkie wgłębienie,

położyłem w nim korę i drobne patyki. Dzieci uznały pewnie, że zbieram myśli.

Ja sprawdzałem, czy mam choć jedną.

Nie wiedziałem, jak dziadek mówił. Pamiętam jego głos tylko jako ciężar w pokoju, nie jako brzmienie. Nie wiem, z czego się śmiał. Nie wiem, czy był łagodny, czy tylko zmęczony. Czy bił dzieci, czy nigdy nie podniósł ręki. Nie wiem, czego się bał. Poboru? Choroby? Urzędu? Tego, że syn wyjedzie i już nie wróci inaczej niż w gości? Nie wiem, czy lubił ziemię. Może miał jej dość: gliny pod paznokciami, mokrych butów, zapachu obory, zależności od pogody i cudzych decyzji. Może chciał, żeby jego dzieci zostały. Może chciał, żeby poszły jak najdalej. Nie wiem, co pomyślał, kiedy mój ojciec dostał pracę w mieście.

O babce wiem jeszcze mniej: że była cicha, dużo robiła, miała chore nogi i umiała wszystko zreperować, choć nikt tego nie nazywał umiejętnością. Na zdjęciu stoi bokiem, w fartuchu, patrzy poza obiektyw. Reszta jest domysłem, a z domysłów łatwo buduje się ludzi, którzy nie mogą zaprotestować.

Rodzice nie opowiadali. Nie zabraniali pytać, ale rozmowa zawsze schodziła na coś praktycznego: szkołę, pracę, mieszkanie, rachunki, zdrowie. Wieś była u nas obecna jak błoto na butach, które trzeba wytrzeć przed wejściem. Nie z pogardą. Raczej z odruchem. Ojciec mówił poprawnie, czasem aż zbyt starannie. Matka pilnowała, żebyśmy nie mówili brzydko, a przez brzydko rozumiała także tamten sposób mówienia. Nie było wojny z przeszłością. Nie było też dla niej miejsca przy stole.

Zostały rzeczy. Zegar bez wahadła. Święty obrazek z tyłu szuflady. Drewniana łyżka, pęknięta. Kilka fotografii w kopercie po wynikach badań. Na odwrocie nikt nic nie napisał. Twarze były wyraźne, a jednak puste od środka, bo nie miałem do nich ani jednego zdania.

- To jaki on był? - zapytał syn.

Wziąłem dwa grubsze kawałki drewna i oparłem je skośnie o siebie. Potem dołożyłem następne, nie za ciasno. Zostawiłem prześwit. Ręce robiły to szybciej niż nadążałem za nimi myślą: cienkie pod spód, potem grubsze, z jednej strony miejsce na powietrze, nie przygniatać. Podpałkę wsunąć głębiej, ale nie na samo dno. Ogień trzeba było zostawić na chwilę mniejszy, aby drewno zdążyło się nagrzać i zapłonąć pełnym blaskiem.

I wtedy zobaczyłem dziadka.

Nie całego. Tylko plecy i ręce. Miał na sobie rozciągnięty sweter i czapkę zsuniętą na czoło. Było podwórko, może jesień, może wczesna wiosna, bo powietrze szczypało w nos, a na deskach przy szopie leżała wilgoć. Stałem obok, mały, zbyt blisko, bo pamiętam, że powiedział:

- Odsuń się, bo dym pójdzie.

Nie krzyknął. Powiedział to tak, jak mówi się rzecz oczywistą: garnek parzy, pies może ugryźć, dym pójdzie. Potem przykucnął. Wyciągnął spod deski garść suchych drzazg. Nie używał gazety, choć gazety były w domu. Skręcał korę palcami, łamał drobne patyki o kciuk, układał je pod kątem. Nie spieszył się. Nie było w tym święta ani lekcji. On po prostu chciał rozpalić ogień.

Pamiętam jego paznokcie, ciemne przy skórze. Pamiętam pęknięcie na palcu, białe od zimna. Pamiętam, że zanim podpałił, pochylił głowę i dmuchnął w puste miejsce między patykami, jakby sprawdzał drogę dla powietrza. Dopiero potem potarł zapałkę. Przez chwilę płomień był mały i brzydki, żółty na końcu, niepewny. Dziadek osłonił go dłonią. Nie dotykał ognia, tylko przestrzeni obok. Może tego dnia paliliśmy liście. Może rozniecał pod kuchnią. Może to były dwa albo trzy wspomnienia zlepione w jedno, bo pamięć nie ma obowiązku być uczciwa wobec faktów. Czasem ratuje obraz, a resztę wyrzuca. Wspomnienie kończy się na tym, że płomień chwyta cieńsze drewno, a dziadek cofa rękę. Dalej nic.

Teraz moja ręka robiła to samo.

Ta myśl przyszła za późno, gdy podpałka syknęła, kora zajęta się niechętnie, a dym poszedł w stronę córki. Skrzywiła się i odsunęła. Syn przykucnął obok mnie, tak blisko, jak ja musiałem stać wtedy przy dziadku.

- I co? - zapytał. - Opowiesz?

Mogłem wymyślić. Powiedzieć, że był pracowity. Powiedzieć, że był surowy, bo stare czasy były surowe. Że kochał rodzinę po swojemu. Takie zdania pasują do każdego grobu i niczego nie odstaniają.

Nie chciałem ich dzieciom dawać. Ktoś powiedział kiedyś, że w środku wszyscy jesteśmy baśnią. Ale tymczasem ja klęczałem przy kamieniach, z brudnymi od popiołu palcami i czułem w środku tylko przerwę między pokoleniami. Nie zakopaną legendę. Raczej puste miejsce po zdaniu, którego nikt nie wypowiedział w porę. Może z

braku czasu. Może ze wstydu, bo chłopską baśnią w mieście można było najwyżej pobrudzić dywan.

Czy opowieść musi mieć słowa? To pytanie brzmiało w mojej głowie zbyt ładnie, więc od razu mu nie ufałem. Słowa są potrzebne. Bez nich człowieka dorabia się z ruchów i przedmiotów. Ale ciało pamięta czasem coś, czego rozum nie umiał zatrzymać. Sposób wiązania sznurka. Niechęć do wyrzucania stoików. To, że chleb odkłada się przeciętą stroną do deski. Albo że drewna nie kładzie się płasko, bo ogień się zadusi. Z braku innej baśni, podałem dzieciom pudełko zapalek.

Czy to dziedzictwo? To za duże słowo dla kilku patyków. Czy przypadkowy nawyk? Może. Tylko że przypadkowe nawyki też skądś przychodzą. Idą przez człowieka bez dokumentów, bez dat, bez nazwisk. Czasem klękamy przy obcym palenisku i ręce wiedzą coś wcześniej niż my.

Ogień przyjął się powoli. Najpierw zapaliła się kora, potem jedna cienka szczapka, potem druga. Grubsze drewno ciemniało od spodu, jakby długo się namyślało. Dym kręcił się nisko, szczypał w oczy. Wcale nie było pięknie. Folia po drewnie szeleściła za moimi plecami. Syn zapytał, czy może dorzucić patyk. Powiedziałem, że jeszcze nie, bo przygniecie.

Córka nie rezygnowała.

- Ale znależ go?

Powinienem był odpowiedzieć prosto. Tak albo nie. Obie odpowiedzi byłyby nieprawdziwe. Znałem jego dłonie przy ogniu. Nie znałem

człowieka, który miał te dłonie. Znałem jedno zdanie o dymie. Znałem nazwisko, które noszę, ale nazwisko nie jest opowieścią.

- Trochę - powiedziałem.

To było najuczciwsze kłamstwo, na jakie mnie było stać.

Dzieci przyjęły je bez rozczarowania. Syn wyciągnął rękę z patykiem. Cóрка patrzyła w ogień, jakby spodziewała się, że jeśli poczeka, pojawi się w nim twarz starego człowieka. Nic się nie pojawiło. Drewno strzeliło. Iskra skoczyła na kamień i zgasła.

Chciałem im powiedzieć: zapamiętajcie to. Że najpierw trzeba dać drobne, potem grubsze, że zostawia się miejsce na powietrze. Chciałem, ale nie powiedziałem, bo każde takie zdanie od razu zaczyna udawać więcej niż jest. Może właśnie tak robi się baśń z braku: bierze się jeden ruch i każe mu unieść za dużo.

Siedzieliśmy więc chwilę bez opowieści. Ogień rósł. Dzieci przestały pytać, zajęte patykami, które można już było wsuwać z brzegu, ostrożnie, nie w środek. Poprawiałem je odruchowo. Nie tak. Wyżej. Zostaw. Poczekaj. Słyszałem własny głos i nie wiedziałem, czy jest mój.

Nie opowiedziałem im, jaki był pradziadek. Pokazałem tylko, jak ułożyć drewno, żeby ogień miał gdzie się zacząć.